

Choroba fabulacyjna

Mariusz Sieniewicz
Miasto Szklanych Stoni
 Wydawnictwo Znak, Kraków 2010

Każdy dzień, każdy tydzień rozpoczynają te same słowa: za siedmioma lasami, za siedmioma jeziorami było sobie Miasto Szklanych Stoni. Daleki świat nie domyśla się jego istnienia, a mieszkańcy nie mają pretensji o swoją anonimowość, wszakże mogli trafić do gorszej bajki. W mieście jest huta szkła artystycznego, gdzie wyrabiane są aniołki, baletnice i, oczywiście, słonie – koniecznie z podniesioną trąbą. Później te szklane cudeńka wędrują w nieznany świat porciągami, by ludziom zapewnić choć namiastkę szczęścia, ale ten, kto żyje w Mieście Szklanych Stoni, nie może go już opuścić, wszystkie bowiem trasy, które umożliwiały wyjazd, zostały wycofane z rozkładów jazdy.

Mariusz Sieniewicz tworzy coś na kształt Oranu, gdzie toczy się akcja dobrze wszystkim znanej z lektur szkolnych „Dżumy” Camusa. W obu

przypadkach bohaterowie powieści dotknięci są chorobą, która zmusza ich do pozostania w mieście, ponieważ poza jego granicami będą stanowić zagrożenie dla innych. Różnica między Miastem Szklanych Stoni a Oranem polega na tym, że bohaterowie prozy Sieniewicza są nieuleczalni duchowo, cierpią na „syndrom fabulacyjny” i wcale nie mają ochoty uciekać z miasta. Wręcz przeciwnie, tworzą swoje historie, w których się zagnieżdżają i moszczą, czując się jak u Pana Boga za piecem. Ale Pana Boga tu nie spotkasz, nikt go nie widział, nawet w świątyni proboszcz wraz z kościelnym popijają wino i grają w karty (w Mieście Szklanych Stoni nazywa się to **nieszporami**), bo skoro nikt dotąd nie widział tu Transcendentnego, to małe grzeszki mogą wszakże przejść niezauważone. Jest za to diablisko, które na dworcu kolejowym przygrywa na harmonii i obżera się śliwkami z kompotu.

W owej baśniowej krainie znajduje się szpital z oddziałami kardiologii, okulistyki i ginekologii, gdzie pacjenci leczeni są **dotykem wyobraźni**. Z tej niekonwencjonalnej metody słynie Jan Kwiecisty – 48-letni okulista-mag, główny bohater. Operacje doktora wyglądają jak spotkania sekty – lekarz wpada w trans i porozumiewa się z tajemniczą Boginią-Tęczową Wieloródką, która obdarowała go darem **nieoczywistego widzenia**. W szpitalu odbywają się również, w każdy trzynasty dzień miesiąca, zajęcia z konfabulacji, na których lekarz-mag ćwiczy z pacjentami opowiadanie historii.

Miasto owo stanowi swoistą utopię, w której wyobraźnia nie zna granic, a metafora goni metaforę. To tutaj postać z obrazu Muncha „Krzyk” zamienia się w krasnoludka, domagającego się rozmowy z Konopnicką, bo przecież nie taka była umowa. Inne krasnale są z Sierotką Marysią, a on co? Wciśnięty został nieborak w ramy jakiegoś obrazu! Rzeczywistość tworzona przez okulistę-maga wciąż się rozrasta. **Światy wciąż** +

rozkwitają. Światy wciąż rozwidlają się, tworząc labirynty kolejnych fabuł i narracji. W lewym oku – ja cały. W prawym oku – ja cały. Jestem opowiadany i jestem opowiadaczem – zapisuje w swym dzienniku Jan-okulista.

Opowieść podtrzymuje porządek miasta, jego rytm. Opowieść pozwala człowiekowi używać skończonego języka, by mógł okiełznać tęsknotę za nieskończonością – te słowa z kolei należą do Jana-bezdomnego. Bo powieść Sieniewicza rozgrywa się w dwóch równoległych planach narracyjnych: mamy tu zatem dwa dzienniki prowadzone przez dwóch Janów. Jan-okulista jest pracownikiem szpitala, obserwuje swoich pacjentów i opisuje ich historie, posługując się narracją pierwszoosobową, jak to zazwyczaj w dziennikach bywa. Jan-bezdomny natomiast jest opowiadany; jego dziennik, pisany w trzeciej osobie, to zapis z perspektywy pacjenta jednego z oddziałów szpitala, a raczej przytułku dla bezdomnych. Te dwie rzeczywistości nakładają się na siebie i jedna stanowi odbicie drugiej. Wedle tej zasady, świat Jana-bezdomnego to swoista antyutopia. Tu nie ma historii o stołach, które chodzą podrywać szafy i sofy. Życie toczy się zwykłym torem, a ludzie nie mają daru nieoczywistego widzenia. Bohaterowie opisywani przez Janów zyskują zatem dwie tożsamości – wszakże punkt widzenia zależy od stopnia zaawansowania umiejętności nieoczywistego postrzegania świata. Ale granice między utopią a antyutopią szybko zaczynają się zacierać, czytelnik traci grunt pod nogami i niekiedy porusza się jak dziecko we mgle. Sieniewicz w „Mieście Szklanych Słoni” wystawia nas na próbę wyzwolonej wyobraźni. Daje nam opowieść, której status jest bardzo wątpliwy, bo nigdy nie jesteśmy do końca pewni, gdzie nas zaprowadzą puszczony z łańcucha słowa, tworzące surrealistyczne obrazy. Przewracając kolejne strony dziennika oryginalnego okulisty, nigdy nie wiemy, co nas może spotkać. To proza wyzwolonej wyobraźni, jak to trafnie ujął Dariusz Nowacki.

Ale jest to również tekst, w którym olsztyński autor zaprasza do postmodernistycznej zabawy w intertekstualne gry. Mamy tu zatem Gombrowiczowskie gmerania i tydki, baśniowe historie Jasia i Małgosi, Sierotki Marysi (a raczej jednego z jej krasnoludków), jedna z pielęgniarek przypomina natomiast główną bohaterkę „Mistrza i Małgorzaty”. Oczywiście, nad powieścią unosi się duch Cortáзара.

I wydawać by się mogło, że te puszczony samopas historie rozplenią się, wymkną spod kontroli, ale Sieniewicz świetnie sobie z nimi radzi, a w końcu sprowadza czytelnika na ziemię, bo każda z baśni, nawet ta najpiękniejsza, musi się kiedyś skończyć. A w bajkach zazwyczaj zakończenie szczęśliwe, ale nie w wypadku fabuły Sieniewicza. W Mieście Szklanych Słoni pojawił się tajemniczy wizytator. Snuta dotąd leniwie historia zaczyna nabierać tempa i przybiera kształt, który niekoniecznie podoba się głównemu bohaterowi.

Zarzuca się Sieniewiczowi eskapizm, ucieczkę w fantazję, tworzenie literatury niezaangażowanej, nieupolitycznionej, ale czy tak jest rzeczywistość? „Miasto Szklanych Słoni” ma coś z ducha Cortáзара (o czym już wspomniałam) – trzeba mieć w sobie trochę determinacji, by przedrzeć się przez językowe i fabularne gąszcz oraz dotrzeć do ukrytego „drugiego dna”. Gdzieś tam bowiem za tymi fantasmagoriami kryje się problematyka tożsamości, ale znajdują się również wątki feministyczne. Polityka i duchowość, wyobraźnia i fakty, proza i poezja – to wszystko, a nawet jeszcze więcej proponuje nam olsztyński autor. Warto jednak, zasiadając do lektury ostatniej powieści Sieniewicza, odejść od swoich tradycyjnych nawyków czytelniczych i dać się ponieść tej surrealistyczno-poetyckiej szalonej narracji.

Magdalena Wotowicz